



To idealna książka do zapoznaniem dzieci z tematem stanu wojennego, PRL-u i sposobami Polaków na odzyskanie wolności.

Mali czytelnicy.pl

W PRL-u w paczkach makaronu przemycano zakazane przez władzę książki, drukowane na powielaczu, przekazywane z narażeniem życia kolejnym czytelnikom. Obowiązywała zasada „PRZECZYTAJ – NIE NISZCZ – PRZEPISZ – PODAJ DALEJ”. W ten sposób wiadomości wędrowały z rąk do rąk ludzi, którzy sobie ufali.

Tak też zaczyna się opowieść o drugim obiegu i walce o wolność Polski. Historia opowiedziana przez małego chłopca, który słucha opowieści rodziców i dziadków, tłumaczących mu, co się dzieje w ich zniewolonym kraju.

Książka zawiera reprint komiksu dla dzieci autorstwa Joanny Papuzińskiej, wydawanego w drukarni podziemnej w 1985 roku.

Joanna Papuzińska

Profesor zwyczajny nauk humanistycznych, wykładowca i pracownik naukowy UW, krytyk literacki, autorka wielu rozpraw dotyczących literatury dziecięcej. Ukończyła Wydział Dziennikarski na UW. Członek Zarządu Polskiej Sekcji IBBY.

W 1996 otrzymała Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za działalność w dziedzinie upowszechniania kultury. Jest także laureatką Nagrody Pary Prezydenckiej Anny i Bronisława Komorowskich za wybitne osiągnięcia w twórczości dla dzieci i młodzieży w 25-leciu polskiej wolności.



To znaczy oczywiście chciała się wtrącać i próbowała, a jak milicja przyłapała kogoś z tajną gazetką albo książką, to musiał iść do więzienia albo płacić grzywnę.

Jeszcze był drugi sposób: zakazane książki były drukowane poza granicami Polski, tam gdzie cenzura nie miała nic do gadania, no a potem ktoś, kto jechał do kraju, upychał sobie taką tajną książkę na dnie plecaka czy walizki i przywoził do nas.

To była niezła zabawa z tą bibułą. Mama upychała ją po różnych zakamarkach, no a potem oczywiście sama nie mogła jej znaleźć. Ojciec złowieszczo oświadczał, że to i tak na nic, bo jak milicja będzie chciała znaleźć, to na pewno znajdzie, bo to fachowcy od szukania. Mama niezbyt chciała w to wierzyć, bo mówiła, że „najgłupszy idiota z mojej klasy to teraz jest w milicji!” i dalej wymyślała swoje najprzedziwniejsze schowanka.

Któregoś dnia po powrocie ze szkoły zastałem mamę prawie zapłakaną. No w każdym razie w stanie najwyższego zrozpaczenia pomieszanego ze zdumieniem.

– Co się stało?

– No, popatrz... – jęczała mama, pokazując mi pustą kartkę. – Wyjadło mi! Uprało...

– Ale mamo, przecież tu nic nie ma napisanego!

– No, nie ma, a było! Schowałam wczoraj w pudełku z proszkiem do prania, a dzisiaj patrzę – pusto! Ten proszek wyjadł wszystkie litery! Uprał na sucho! A to była taka ważna ulotka! Już sama nie wiem, gdzie mam to chować!

– Hm... – zamyślił się dziadek. – A gdzie najlepiej ukryć ziarnko piasku? No przecież w piaskownicy, prawda? Więc gdzie najlepiej ukryć bibułę? Ja bym radził na półce między książkami! Przecież mamy w domu książek a książek!

I tak zaczęliśmy robić. Upychaliśmy bibułę w jakichś prastarych okładkach powieści Krászewskiego albo innego autora czy autorki, i tak sobie stały na półce. Jednak te książkowe maleństwa – to było całkiem coś nowego.

– Ale to ktoś chytrze wymyślił takie makaronowe książeczki! Nikt by nie przypuszczał, że w środku może być coś całkiem innego – powiedziałem.

– Oj, my, Polacy, mamy w tym dużą wprawę – odrzekł dziadek. – Nieraz byliśmy w niewoli i nieraz się buntowaliśmy przeciw cenzurze. Władze zaborcze wymyślały różne swoje sztuczki, a my wymyślaliśmy swoje sekretne sposoby.

– Jakie sposoby? – zapytałem ciekawie.

– No, na przykład sto lat temu, a może i jeszcze więcej, takie zakazane książki czy gazetki najlepiej się przewoziło przez granicę w damskim ubraniu.

– W walizce? – zapytałem ciekawie.

– Nie, właśnie że nie w walizce, tylko w ubraniu włożonym na siebie. Panie nosiły wtedy odpowiednie stroje, bo taka była moda: szerokie spódnice, sztywne gorsety...

– Gorsety? A co to było? – zadziwiłem się.

– No, taki rodzaj jakby kamizelki, którą się zakładało pod ubranie. Żeby mieć zgrabną figurę. Elegancka pani sto lat temu musiała być w pasie cienka jak osa, mieć duży biust i szeroką pupę. Więc nosiła taką sztywną kamizelę pod suknią, kamizelę się ciasno sznurowało na plecach. Takiej strojnisi musiała pomagać druga osoba, bo nie dało rady się zasznurować samemu. Żeby się zmieściło pod gorsetem dużo książek albo gazetek konspiracyjnych, najlepiej było, jeśli szczupła pani pożyczła sobie gorset od takiej... no, „przy kości” – to wtedy gorset był luźny i można było dużo papieru wepchnąć do środka... Takie odważne panie, które w ten sposób przewoziły przez granicę zakazane książki, nazywano dromaderkami. Wiesz dlaczego?

– Noo, dromader to taka odmiana wielbłąda... – zacząłem się zastanawiać – więc te panie były takimi wielbłądami do noszenia książek!

– No właśnie – przytaknął dziadek. – A potem odzyskaliśmy niepodległość i dromaderki mogły chwilowo zająć się normalnym życiem, a zarazem krynoliny i gorsety wyszły już z mody. No ale niepodległość trwała bardzo krótko, straciliśmy ją po dwudziestu latach, bo napadł na Polskę Hitler i zaczęła się okupacja niemiecka. Wtedy dromaderką, ale już zupełnie innego rodzaju, została twoja mamusia.

– Ja? Dromaderką? – zdziwiła się mama szczerze.



– No oczywiście, skąd byś miała to pamiętać, przecież byłaś jeszcze niemowlakiem! A niemowlaki trzymało się wtedy w czymś takim, co się nazywało becik. No i w tym beciku...

– Zaraz, dziadku, poczekaj! Co to był za becik? – przerwałem mu opowieść, bo już zupełnie nie mogłem się w tym połapać.

– Becik... – zadumał się dziadek – jak by to powiedzieć... To było coś w rodzaju takiego opakowania dla niemowlęcia... też już wyszło z mody...

– Ja wiem! Ja wiem! – krzyknęła mama. – Poczekajcie! Ja jeszcze gdzieś mam taką laleczkę w beciku!

Mama pobiegła do swojej komody i po chwili wróciła z małym pakunczkiem w garści.

– O, zobaczcie! Bawiłam się nią, jak byłam mała. To jest właśnie becik.

Becik okazał się czymś w rodzaju podłużnej poduchy, złożonej na pół i zawiązanej na wymyślne kokardki, a ze środka sterczała głowa lalkowego dzidziusia.

Mama rozwiązała pieczołowicie te kokardki i odsłoniła dzidziusia. Ale dziadek sięgnął z zapalem po becik.

– On oczywiście musiał być dużo większy, taki na prawdziwego dzieciaczka. Pod podszewkę, pod te wszystkie falbanki, można było wepchnąć całkiem sporo gazetek, dobrze zawiązać, zapakować z dzieciakiem do wózka i wyruszyć niby na spacer albo z wizytą, a w rzeczywistości dostarczać ludziom bibułę, bo tak się to wtedy nazywało.

– No a... – zająknąłem się, bo trochę się wstydzilem zadać swoje pytanie – jak taki dzidzius się akurat posiusiał na bibułę?

– Na tym właśnie polegała cała sztuka! Tak chytrze spakować becik, żeby nawet jeśli dzidzius się zsiusia, nie dał rady pomoczyć gazetek...

Tu wtrącił się tato, który jednym uchem słuchał rozmowy, ale oprócz tego siedział z nosem utkwionym w grubaśnej książce.

– Posłuchajcie, to przeczytam wam coś o takiej fajnej sztuczce z czasów powstania warszawskiego: „Gdy w pierwszej fazie powstania przeskok przez Aleje Jerozolimskie na skutek silnego ostrzału powodował częste i bolesne straty, Zawiszacy przeciągnęli przez aleje linkę, na linie zawiesili pudełko w kształcie małego wagonika i przesuwając linkę, ciągnęli wagonik z pocztą na drugą stronę. Równocześnie Niemcy oddawali do małego wagonika całe serie strzałów, zawsze bezskutecznie, a w przeciwnych bramach po obu stronach Alei grupki chłopców wykonywały swą pracę, trzymając się za boki ze śmiechu”.

Po pierwszych chwilach oczarowania niespodzianką z makaronu, jednak szybko się małymi książeczkami rozczarowałem. Nie tylko, że literki były mniejsze od mrówek, a obrazków jak na lekarstwo, ale jeszcze kiedy człowiek zaczynał czytać, okazywało się, że połowa słów jest niezrozumiałych, że są to jakieś poważne artykuły. Jednym słowem – typowa nuda dla dorosłych.

– Ależ nie, to wcale nie nuda, to bardzo ciekawe! – zaprotestował dziadek. – Poczekaj, jak będziesz starszy, to sam się przekonasz... W tych książeczkach jest prawdziwa historia Polski, a nie jakaś zmyślona propagandowa lipa... Popatrz, one są wydrukowane za granicą w Paryżu i w Londynie, a tam nie ma cenzury i można pisać tak, jak było naprawdę.

– No widzisz, mamó, jakie to jest świństwo i niesprawiedliwość! Zawsze dzieci są pokrzywdzone! Sobie to robicie różne książki i gazetki, a dla nas nic nie ma! My nawet nie wiemy, co się naprawdę dzieje!

– Tak jest i nie powinniście wiedzieć, bo to jest zabronione i niebezpieczne. Za taką gazetkę można pójść do więzienia, ona jest absolutnie tajna! Dzieci nie powinny interesować się polityką!

– Mamó, nie żartuj! Może kiedyś tak było, ale teraz masa ludzi czyta i wcale się nie ukrywa! Nawet nasz pan od ZPT taką twoją gazetkę czytał na lekcji!

– Co? Czytał wam na lekcji? – zgorszył się tato. – To już niedopuszczalne!

– Nie, tato, jasne, że nie nam, tylko sobie! Nam to kazał przewlekać kabel przez dziury w butelkach, a sam siedział sobie za stołem i czytał. A Mańka, co siedzi w pierwszej ławce, bo jest krótkowidzem, podpatrzyła, że tam był napis solidarką i tytuł „Tygodnik Mazowsze”!